
Jestem Mała Mi.
Ale w swojej ręce umieszczę wszystkie Twoje plany.
Sama wołasz mnie, kiedy upadasz na dno.
Bardzo odpowiedzialnie.
Popracujemy nad tym razem,
a nawet mnie nie zauważysz.
Ostatecznie będziesz moim puszkciem.

Chcę Cię unieść.
Chcę oplatać Twoje ciało.
Chcę Cię prowadzić za rękę.
Będę piec do kości.
Będę połykać Twoje sprawy.
Będę obmierzać Twoje ideały.
Będę zakrywać Twoje usta.
Popatrz w lustro.

Obdarta z marzeń aż do wnętrzości.
Do dna, sama nieskończonego.
Obdarta z resztek ideałów.
Do środka swoich żył.
Uciemieżona wieczorną kołysanką.
Bez świadomości, nadziei, prawd.
I zostajesz moim puszkciem.
Unosisz się nad głowami.
Wyżej!
Wyżej!

Po prostu idź krok za mną,
wsadzaj stopy w moje ślady.
Tylko ja rozumiem Twój głos.
Będziesz taka jak ja,
z lodowym życiem.

Chcę Cię unieść.
Chcę oplatać Twoje ciało.
Chcę Cię prowadzić za rękę.
Będę piec do kości.
Będę połykać Twoje sprawy.
Będę obmierzać Twoje ideały.
Będę zakrywać Twoje usta.
Popatrz w lustro.

Tylko ja znam Twoje myśli.
Tylko ja wiem, gdzie leży Twoja prawda.
Tylko ja czuję Twoje lęki.
Obdarta z marzeń aż do wnętrzości.
Do dna, sama nieskończonego.

Obdarta z resztek ideałów.
Do środka swoich żył.
Uciemniona wieczorną kołysanką.
Bez świadomości, nadziei, prawd.
I zostajesz moim puszkciem.
Unosisz się nad głowami.
Wyżej!
Wyżej!

Zbliża się poranek bez kolejnych oddechów,
cichy, ale taki niespokojny.
Dotykem zimnej kołdry pierwsze mrugnięcie.
I ta cicha ciemność rozdziera twarz.

Ale nawet gdy śpię, czuję ostry zapach dnia,
szpony trujących liści realności świata.
Dzisiaj jestem realnym dziełem Albano,
kiedy sufit odbija moje światło.

Dniu, nie witaj mnie jak co dzień.
Wiesz, że staram się całym oddechem.
Raz w roku posłuchaj mnie.
Posłuchaj skóry na zimnym łóżku.
Nie pozwól chorym myślą zabierać Cię.

Dzień ma cel i swoją noco-kres.
Nie jestem odważna, tylko zła.
Dzień jest życiem, a ja leżeniem.
Dzień świeci słońcem po oknach gwiazd,
a ja popiołem i smołą w ziemiach glizd.
Gdzieś pod ziemią latam bez korzeni.

Dniu, nie wspominaj mnie źle.
W nocy przecież jestem inna, nie poznasz mnie.
Proszę pozwól mi spać, nie wracaj już.
Bo zabierasz mi oddech minionej nocy.
A Twój zimny, letni wiatr nie ogrzewa pobielanych kości.

To moje przekleństwo,
że budzę się coraz zimniejsza.
Nie mogę utrzymać tej chłodnej krwi,
więc będę tkliwie zawodzić tylko wieczorem.
W tuszowe poduszki.

Opuszczam Cię raz kolejny,
ukrywając dumę w podartej kieszeni.
I zimno krwi w mojej pościeli.
Dopóki zimna podłoga trzyma mnie,
dopóki uśmiecha się zapadane okno,

Stoję jeszcze na złamanych wpół kolanach.